Lwów. 27. Grudnia   №154.   Rok 1855.

Wychodzą we *Wtorek*, *Czwartek* i *Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. półr. 3 Złr. kwartał. 1 Złr. 30 kr. miesięcznie 40 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Złr. — półrocznie 4 Złr. — kwartalnie 2 Złr. m. k. Ryciny mód kwartal. 1 Złr. 20 kr.

NOWINY

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr. za następ. po 1½ kr. i za do płatą 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie Bioro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha*.

KRÓL DZIADÓW.

XI.

Jeszcze w Wyżyńcach.

(Ciąg dalszy).

Wiadomości pana plenipotenta były bardzo smutne i przeciw zwyczajowi panów plenipotentów nie obwijane wcale w bawełnę. Panu Krętowiczowi znudziło się już być plenipotentem dla honoru tylko, bez żadnego zysku. Donosił tedy panu Ignacemu, że wszystkie jego usiłowania są daremne, pominąwszy koszta które wyliczał z aptekarską dokładnością i aptekarską sumiennością. Mimo wszelkich tedy natężeń jego głowy, wpływów i zaawansowanych pieniędzy, nie może wstrzymać ani licytacyi ostatecznej Wyżyniec, przypadającej już za tydzień, i to *infra praetium* ani nawet sekwestracyi wszystkich ruchomości, którą jakiś starozakonny Szmul Łapsiewicz wyrobił sobie, i którą ma już w ręku komornik Rozbójski, znany z swej komorniczej akuratności i nieubłaganej pożądliwości diurnowej; że zatem za trzy lub cztery dni najdalej Wży Rozbójski zawita do Wyżyniec; a więc *sapienti sat!..* kończył Krętowicz po łacinie, aby dowieść że jest rzetelnym. W końcu było jeszcze *postscriptum*.

— W tej chwili dowiaduję się, że Abramko Bardach z mocy zaprotestowanego wexlu, wyrobił sobie areszt na szanownej osobie J. W. pana, który to dekret p. komornik Rozbójski, J. W. panu nie sprzyjający *ob causam* dotąd nie wypłaconych mu a przysądzonych kosztów komorniczych, ma *sub uno* z sobą. Donosząc o tym błagam abyś J. W. pan raczył przy takich konjunkturach radzić sobie wedle możności, i odbierając mi papiery swoje, uwolnił od wszelkiej odpowiedzialności, której na mojem czystem sumieniu mieć nie chcę.

Odebrawszy wieści takiego rodzaju, pan Ignacy darmo suszył głowę, jakim by sposobem ratować się jeszcze. Droga tak wygodna i tak wypraktykowana przez naszych adwokatów, droga dylacyi, już mu była zamknięta. O kredycie ani myśleć, bo ostatni żyd, który go jeszcze na ogromną lichwę ratował, Srul Feigele, wyraźnie mu przed kilką dniami powiedział, że mu już dalej pomódz nie może.

Położenie było rzeczewiście okropne. Bo ze stanowiska takiego, na jakiem był dotąd, zlecieć nagle, i gdzie?... w nędzę, w poniewierkę, w wyciąganie ręki, w błoto jednem słowem, to okropne! Jest to okropne dla każdego, choćby najniższej stał na towarzyskiej drabinie, ale dla pana z rodu, z wychowania, z przyzwyczajenia, jest to stokroć okropniejsze, wyznać musimy na przekor wszelkim niwelatorom społecznym. Daremna rzecz! łatwiej i mniej boleśnie wywrócić się małym drabiniastym wozem, niżeli ogromną, na wysokich resorach zawieszoną karetą, i dlatego to może wszystkie karytki teraźniejsze, tak niziutko zawieszone. Przyznajemy to, ale tem więcej nam się dziwić wypada nieprzezorności tych, którzy najwięcej takiemu upadkowi majątkowemu podlegają, a którzy przez to samo takiego upadku strzedz by się powinni, bo ich minie nawet ta litość, jaką się ma dla ludzi przez jakie ryzykowne przedsiębierstwa zrujnowanych, a jakiej każdy odmówi trwoniącemu przez próżność zbytkowi.

Jakkolwiek bądź pan Ignacy w prawdziwej był rozpaczy, nie w tej rozpaczy człowieka z charakterem, zdolnego energicznych natężeń lub energicznego przedsięwzięcia, chociażby niem było samobójstwo. Rozpacz pana Ignacego była podobna, jak słaby i chwiejny jego charakter. On się zżymał i gniewał na świat cały, wszędzie szukał winy, a najwięcej u tych, którzy niechcą mu pożyczyć na zapłacenie lichwiarzy.

On by chętnie bił wszystkich otaczających, aby wywrzeć wewnętrzną złość swoję, aby się zemścić za własne winy. I w swej zapamiętałości każdego widzi winnym, który może a niechce pomódz, choćby z własnym uszczerbkiem.

Tak obwiniając innych o upadek swej fortuny, a nie biorąc się sam do ratowania jej, bił się pan Ignacy z myślami, a tymczasem godzina ubiegała za godziną. Nie widział żadnego sposobu. Pieniędzy zniskąd dostać, pozorów przyprawnych do odwleczenie smutnej katastrofy już nawet i plenipotent wynaleść nie mógł.

Wszystko to myślą przebiegł pan Ignacy, zbierając i rozbierając w głowie wszelkie możliwości. Daremna mozoła. Ni sposobności! ni energii!.. A choćby przynajmniej

znalazła się sposobność, to by już na energję zdobyć się można było.

— Więc zginąć potrzeba? i zostać pośmiewiskiem całego świata?.. pytał pan Ignacy sam siebie, biegając po kancelarji z złowrogim listem w ręku.

W takiem był usposobieniu, gdy się otworzyły nagle drzwi, i wszedł przez nie Srul Feigele. Ze zwykłem u żydów uszanowaniem, które jest raczej u nich dowodem tchórzostwa, skłonił się nisko, a nawet jarmurkę zdjął, a przecież nie mógł wytrzymać, by się nie popatrzył szyderczym wzrokiem na pomieszaną twarz pana Ignacego.

— Padam do nóg jaśnie wielmożnego...

— Głupiś! zawołał p. Ignacy zniecierpliwiony, wolałbyś nie padać do nóg, a przecież co poradzić.

— Aj waj! ja od rady nie uciekam.

— Lub pomódz!... a pewien jestem że już wiesz co się ma tu stać za dni parę.

— Coś to ja słyszał!... ale co ja na to pomódz mogę...

— Wy zawsze wiecie gdzie dostać pieniędzy.

— Ny! my wiemy, ale jakiego hypoteka?

— Więc czegóż mnie nudzisz i po co przyjechałeś tu do mnie.

Żyd na to popatrzył z pod oka na pana Ignacego, łypnął oczami, i zbliżywszy się do niego...

— Ja by miał pieniędzy!..

— Gdzie! zawołał z rozpaczą tonącego, któremu i brzytwa zdaje się być ratunkiem.

— Ja by wiedział gdzie znaleść żeby odwaga!..

— Jakto odwaga!.. nierozumiem..

— Ja jaśnie panu już opowiadał podobno, że Wiciewicz ma grube pieniądze...

— I cóż z tego? zapytał pan Ignacy strzyżąc uszami.

— I że wun myśli je zakopywać..

— Więc?..

— Już wun zakopywał!...

— I cóż mnie z tego? co to może mnie pomódz?..

— I ja wiem gdzie zakopywał..

— Wiesz?.. zawołał pan Ignacy podnosząc głos. To zapewne odkopiesz!... dodał ciszej i niby od niechcenia, niby pogardliwie.

— Kiedy ja się boję?...

— Na to ja nieporadzę mój panie Srul! mówił pan Ignacy, śmiejąc się półgębkiem... I dla czegóż ty się boisz?....

— Bo to miejsce straszne, gdzie on zakopywał.

— Miejsce straszne znowu!.. Ty jesteś doskonały Srulu! Albożto miejsce może być straszne?..

— A pasieka!...

— Pasieka? przemówił p. Ignacy nagle, i pobladł.

— Pasieka Wiciewicza!... tam pod monasterem!... gdzie jak mówią djabli wzięli jakiegoś pana co tam miał zamek.

— Nie pana!.. to żyda z karczmy porwali! mówił p. Wyżyński żartem niby, a głos jego drżał widocznie.

Nastała chwila milczenia. Oba popatrzyli na się z uwagą... ale pan Ignacy zaraz się odwrócił ku stolikowi, jak gdyby szukał papierów jakich.

— Więc się boisz mój Srulku?... zagadł pierwszy widząc że Srul milczy uporczywie.

— I nie wiem w którem miejscu, bo pasieka jest obszerna.

— A tak!...

— I sam w nocy, to jakoś bardzo straszno.. Ot tak proszę jasnego pana, żeby z kim drugim.

— Ale cóż mnie to obchodzi? mówił pan Ignacy z wzrastającą niecierpliwością.

— Ja sobie tak myślał, że gdyby tak kto bardzo gwałtownie potrzebował pieniędzy.. to... to...

— Kończ panie Srulu! przemówił p. Wyżyński z wyrazem bardzo wątpliwym.

— To! to byśmy razem mogli pójść w nocy.. i...

— Skończ już raz...

— I... uważa jasny pan.. podzielić się...

— No proszę!.. ale z kim!...

— Z kim!.. nu jasny pan się niedomyśla!..

— Nie jestem bardzo domyślny.

— Nu! jasny pan tylko co mówił, że tak bardzo potrzebny jesteś..

— Słuchaj no żydzie! zawołał namiętnie pan Ignacy, przybierając postawę dumną, obrażoną i rozgniewaną. Nie chcę się domyślać, bo nie chcę nic mieć z tobą do czynienia... ale przypominam ci, że jeszcze mam ludzi, którzy cię za uszy wyprowadzą z mego domu...

— Jakto. jasny pan niechce? przemówił znowu żyd wpatrując się w p. Ignacego wzrokiem pół zadziwionym, pół niedowierzającym.

— O czego nadto!.. krzyczał p. Ignacy, tupając nogą i przyskakując z wyrazem tak zapalczywym, że się ten aż cofnął ku drzwiom. Wyraz ten czy prawdziwy czy udany, po mistrzowsku był oddany.

— A teraz precz! pókiś cały!... bo nie ręczę za siebie...

— Ale jasny panie, tam musi być z jakich kilkakroć.

— Idź precz mówię ci!... Ty śmiesz mnie mówić i proponować rzeczy. —

To rzekłszy podniósł rękę ku dzwonkowi z wyrazem tak groźnym, że żyd naprawdę przestraszony umknął i co prędzej drzwi za sobą zatrzasnął..

Pan Wyżyński po wyjściu żyda uspokoił się w jednej chwili. Czas jakiś patrzył ku drzwiom, jak gdyby

śledził kroku uciekającego. Potem obrócił się pomału, i kilka razy potarł jakby głębokiemu oddany dumaniu.

Żyd tymczasem szybkim krokiem spieszył do bryczki swojej, i ciągle się oglądał, czy go kto nie goni od dworu. Gdy już jedną nogą był na bryczce uderzył się nagle po głowie...

— Aj waj! ja podobno głupstwo zrobił, mówił sam do siebie. A jak wun sam spróbuje?.. Do Wiciewicza jechać?.. Nu ten sknera nic nie da za przestrzeżenie. Samemu iść tam?.. gwałt ja się boję... A zatem! achesmir już go mam, już wiem... Ja pójdę do Wasyla!.. Ten najdzie sposób, a jak przyrzeknie to pewnie dotrzyma i nie zdradzi mnie.

Po tym monologu wskoczył do bryczki, i zacinając biczykiem kulawego konia, gonił o ile mógl najprędzej w stronę pasieki Wiciewicza i góry z monasterem.

Tego samego dnia wieczorem w pokoju samej pani Wyżyńskiej siedział major z bratową. Pani Wyżyńska cały dzień była cierpiąca, i nigdzie nie wychodziła z pokoju swego. Pod wieczór zaprosiła do siebie męża i brata na herbatę. Mąż odpowiedział że jest zajęty, a major który cały dzień biegał jak nie swój, i pełen niespokojności o zdrowie bratowej, co chwilę się o niej dowiadywał, przybiegł na pierwsze wezwanie. Ciemno było już w pokoju chociaż zupełny na dworze nie zapadł jeszcze zmrok, bo story były pozapuszczane i pozamykane okienice. Lampa na boku stojąca, ledwie oświecała pokoj, w którego najciemniejszym kącie siedziała pani Wyżyńska, z głową na bok zwróconą, jak gdyby nie chciała, by ją widział wchodzący major. I tak to zrozumiał pan Stanisław, który przeciwnie chciałby koniecznie ją widzieć, aby ztąd poznać stan zdrowia i usposobienie bratowej, dla której jak wiemy major był z nie małem uczuciem. Zbliżał się nawet w tym celu ku lampie, chcąc ją zwrócić ku siedzącej.

— Światło mnie razi! ozwała się do niego.

Po kilku słowach obojętnych rozmowa się urwała, i długie nastało milczenie, przerywane tylko przytłumionemi westchnieniami pani Wyżyńskiej, którym major wtórował mimowolnie.

— Bratowa jesteś cierpiąca!.... przerwał wreście major milczenie. Może chcesz już odpocząć?...

— Nie jestem więcej cierpiąca... I twoje towarzystwo kochany bracie jest mi jeszcze jedną pociechą.

— A przecie nie widać tego po smutku twoim, kochana bratowo!...

— Smutek jest mi już od dawna nieodstępnym gościem, i już się z nim do śmierci podobno nie rozstanę.

Głos mówiącej był tak żałośny, tak smutny, że major mimo swojej męskiej siły i energji, zadrżał cały i zerwał się z miejsca.

— To się nie godzi! zawołał na pół ze zarzutem, na pół z błaganiem. Wszakże Eugeniusz nie małe dziecko, by tak dał się porwać bez oporu i zginąć bez wieści.

— Nie małe dziecko!... a przecież od małego dziecka przeczuwałam stratę jego.

— Na miłość Boga bratowo!... dajże pokój z temi przeczuciami.. A jeżeli już koniecznie chcesz bratowa wierzyć w przeczucia, to wierz w moje, które mi mówią że lada chwila będziemy mieli wiadomość o nim jeżeli nie jego samego.

— Ty bracie nie wiesz wszytkiego i pojąć nie możesz jak mi jasno przed oczami stoją przyczyny i skutki, ściśle z sobą połączone.

— Nie wiem wszystkiego, to być może! ale przecież nierozumiem....

— To co się stało, to co przeczuwałam, w snach moich widziałam, czego się ciągle obawiałam, to się ściśle łączy ze zdarzeniem, tobie bracie nieznanem.

— I którego wiedzieć nie mogę?..

— Nie mój bracie, ty wiesz, że w tobie mam zupełną ufność, a jeżeli dotąd nigdy o tem zdarzeniu nie mówiłam, to głównie dla tego, że tajemnica nie do mnie samej należała, i nareszcie sam najlepiej zrozumiesz dlaczego nic mówić nie chciałam, gdy się dowiesz...

— Wierzę.. i szczerze powiadam, że wiedzieć niechcę, jeżeli ma to być tajemnica.

— I owszem mnie to dawno ciężyło na sercu, i dziś czas, bym wszystko powiedziała. Słuchaj kochany majorze!... Jeżelim dotąd milczała, to dlatego, że się to tyczyło twego brata.

— I pewnie nic takiego co by mu zaszczyt przynosić mogło.

— Posłuchaj!... Znasz bracie tak zwanego króla dziadów, o którego z takiem zajęciem pytał się Eugeniusz.

— Król dziadów!.. zadrżał major z wyrazem zadziwienia. A gdy się Eugeniusz pytał, widziałem szczególne pomieszanie na twarzy Ignacego, i...

— I na mojej!... tak jest!... Ten król dziadów jest człowiek szczególnych zdolności, mimo stanu niskiego w jakim się urodził. Podług wszelkiego nawet prawdopodobieństwa on udaje tylko ślepego, bo niby każdy król dziadów ślepym być musi, i ta ślepota daje mu nadzwyczajną władzę nad jego podwładnemi.

Ojciec mego męża lubił go bardzo, bo jak się zdaje, w sercu jego pod torbą żebraczą biło wiele uczuć szlachetnych dla bliźnich i dla kraju. I król dziadów miał szczególne przywiązanie do starego kasztelana, co dowodził mu za życia, ochraniając jego majętności od chmury żebraków, a po śmierci, widziano go słyszę, jak na czele swoich podwładnych szedł za trumną nieboszczyka, szczere łzy wylewając. Z tąd poszło, że gdy mąż mój w lat kilka

*

wrócił do siebie, król dziadów odwiedził go, chcąc jak mówił choć dotknąć się twarzy jego, aby poznać młodzieńcem tego, którego widział dzieckiem. A przytem przyrzekł mężowi memu opiekę i w końcu zapytał, czy nie może mu w czem pomódz. Mąż mój przyjął go nienajlepiej, lecz usłyszawszy o obiecanej pomocy, a radząc się już wówczas Srula który mu powiedział, że wieść chodzi, jakoby król dziadów miał znaczną gotówkę z żebraniny jego podwładnych pochodzącą... Ignacy jak zawsze potrzebny, zawsze goniący za pożyczkami, nie wahał udać się do króla dziadów z prośbą o tę wspólną ich towarzystwa kassę.

— Ha to okropne!.. i nie wstydził się!..

— Niewiem dobrze szczegółów, czyli raczej niewiem czy jak je później słyszałam, wszystkie są prawdziwe, daj boże by choć w części były przesadzone. Bo aż przykro pomyśleć by się mógł kto tak dalece poniżyć jak...

— Jak mój braciszek! dla marnotrawcy byle nowych dostał pieniędzy, nic nie ma świętego.

— Miało więc tak być, że król dziadów zaprowadził go do jakiejś starej piwnicy, gdzieś tam w pasiece koło góry z Monasterem, i tam mu tajemnie z owej kassy pożyczył pewną kwotę znaczną, która ledwie czwartą część całej kassy stanowiła. I pożyczył mu bez kwitka, na proste przyrzeczenie. W kilka czy kilkanaście dni później, lecz prawdziwie niewiem czy mam kończyć!

— Mów bratowo! ja jestem przygotowany do najgorszego.

— Przychodzi więc król dziadów do schowku swojego w owej piwnicy, ale już ani śladu nie zastał swoich pieniędzy. Łatwo pojmiesz bracie, na kogo musiał mieć podejrzenie, bo jak twierdził, nikomu nigdy tajemnicy schowka swego nie odkrył.

— Tylko Ignacemu!

— Dosyć że król dziadów przychodził do Ignacego upominać się. Ten nietylko że go wyłajał i nagroził za owe podejrzenie, ale zaparł się nawet pożyczonych pieniędzy. Król dziadów niemiał żadnego dowodu, musiał zamilknąć, chociaż miał podobno wiele nieprzyjemności z swojemi podwładnemi. Ale zaprzysiągł mu zemstę. Słuchaj bracie, zaprzysiągł mu zemstę!

— To jest okropne! ale w czemże zemsta?

— W czem! alboż ja wiem, i właśnie dla tego nigdy chwili spokoju nie miałam. Bo żeby się zemścił, jak się zwykle mszczą żebracy, podpaleniem, kradzieżą! Nie! tyle lat minęło, i zawsze jak dawniej byliśmy nienaruszeni przez nich. Nigdy śladu podpalenia. A przecież co roku prawie pojawia się żebrak, który znalazłszy sposobność, przychodził od króla dziadów z powtórzeniem mściwej obietnicy. I wyobraź sobie mój bracie! od czasu urodzenia Eugeniusza poselstwo to złowrogie ustało zupełnie.

— Znudziło go zapewne, próżne przesyłać pogróżki!

— Ty go nie znasz mój bracie! W tym człowieku jest mimo późnego wieku niesłychana jeszcze energja!

— I zkądże bratowa tak dobrze jesteś uwiadomiona o tych wszystkich szczegółach? bo jak się zdaje wszystko to daleko dawniej się wydarzyło.

— Zaraz opowiem. Tu właśnie muszę dotknąć tajemnych jakichsić przeczuć i snów, które dziwnym sposobem łączą się z przyrzeczoną zemstą króla dziadów.

Tyś bracie był gdzieś wyjechał, gdy ja miałem Eugeniusza, i mąż mój po interesie oddalił się. Ja byłam sama jedna. Nic jeszcze wówczas nie wiedziałam, i jeżeli nie byłam zupełnie szczęśliwą, byłam o tyle przynajmniej spokojna, że z uczuciem błogiem mogłam patrzyć na to małe stworzenie, które miało być odtąd moją jedyną pociechą. Szukano mamki. Wówczas to przychodzi do mnie kobieta młoda, dziwnej, niezwykłej nawet urody, mimo swej prostej i nawet ubogiej odzieży. Powierzchowność jej podobała mi się bardzo. Niepytając o nic więcej, bez poradzenia się kogokolwiek, wzięłam te kobietę za mamkę. To była szczególna fatalność!

— Fatalność?

— Ta kobieta była wnuczka króla dziadów, ostatnia wnuczka pozostała mu po licznej niegdyś rodzinie. Ona to opowiedziała mi całe zdarzenie jej dziada z moim mężem.

— Może kłamała? zawołał poczciwy major z wybuchem radośnej nadziei.

— Daj boże! odrzekła pani Wyżyńska z cichem westchnieniem.

— Ale po takiem właśnie powiedzeniu nie należało już trzymać tej mamki.

— Ja też powtarzam, że była w tem fatalność! Jej opowiadanie przeraziło mnie okropnie, i tem więcej że w całej jej powierzchowności był wyraz szczególnej wyższości umysłowej, a w każdem jej słowie, w każdym ruchu przebijała prawda. Drżałam na jej opowiadanie, drżałam na widok jej ciemnych oczów, łyskających oburzeniem, gdy opowiadała krzywdę swego dziadka, a przecież czułam jakiś dziwny do niej pociąg, i nareszcie... zdało mi się, że trzymając ją w domu, przebłagam zemstę zaprzysiężoną.

— I jak się zdaje nic się dotąd z tej zemsty nie wykluło.

— A zniknienie teraźniejsze Eugeniusza?

— Miałożby to być skutkiem tej zemsty, tak długo odwlekanej?

— Jest jakiś tajemny w tych zdarzeniach związek! o tem jestem przekonana! jaki? bóg to jeden wie. Lecz słuchaj bracie dalej! To co ci jeszcze mam opowiedzieć, wyda się tobie śmiesznem i nic nie znaczącem, bo u was

mężczyzn, do życia czynnego przyzwyczajonych, najmniejszego znaczenia nie ma... sen błahy.

— Sen! mój boże! i to jeden sen niepokoi cię kochana bratowa od tak dawna?

— Ale jaki sen! posłuchaj go. Było to w parę dni zaraz po przyjęciu mamki. Byłam bardzo osłabiona, mianowicie nerwy moje były do najwyższego stopnia rozdrażnione. Każdy stukot męczył mnie, i pamiętam jak by to dziś było, jakie na mnie wrażenie sprawiała burza jesienna, hucząca na dworze i po ogrodzie, której głuchy głos dochodził do mnie mimo szczelnie pozasłanianych okien. W skutek tej burzy i usposobienia mego, sen mój był nadzwyczaj niespokojny. Dziwne z początku krzyżowały mi się przez sen postacie, nie połączone zda się z sobą żadną myślą wyraźną. Aż nareszcie zdało mi się że widzę przed sobą króla dziadów, z postawą rozgniewaną i groźną.

Nadaremnie chciałam uciec lub schować gdzie oczy, wszędzie mnie dopędził, wszędzie stawał mi przed przestraszone oczy. A co najwięcej mnie męczyło, że w tej ucieczce oglądać się musiałam za dzieckiem, które w ręku mamki okropnie płakało i zdawało się rozpaczliwie wyciągać ku mnie drobne swe rączki. Nagle zdało mi się, że się znalazłam w jakiejś piwnicy, z której żadnego już niebyło wychodu. Nadaremnie tłukłam głową i rękami; wszędzie zdybywałam twarde sklepienie. Chciałam wziąć dziecko z rąk mamki, lecz ona odwracała się odemnie, i palcem grożąc wskazywała króla dziadów, który coraz zawzięciej patrzał na mnie i na to biedne dziecko moje. I stanął wreszcie przedemną, wyciągnął ogromną rękę, i porwał nią dziecko moje. Struga krwi spłynęła wzdłuż piwnicy; dziecko krzyknęło przeraźliwie, wszystko znikło, a jam się zbudziła. Zimny pot mnie oblał, trzęsłam się cała jak w febrze, i już wtenczas pewnie nie spałam. Nagle zdało mi się, że ten sam krzyk dziecięcy słyszę wyraźnie, jak dochodzi mnie z ogrodu mimo burzy, kołatającej o suche drzew konary.

Zerwałam się z łóżka, i pobiegłam do drugiego pokoju, gdzie spała mamka i dziecko w kołysce. W tej chwili mamka kładła dziecię do kołyski, i sama, wyraźnie dostrzegłam, miała łzy w oczach. Do pół gorączką rozmarzona, porwałam dziecię na ręce, przycisnęłam je do łona, oglądając się ciągle, czy je kto nie porwie. I w tej to chwili, gdy dziecko przyciskałam do trwogą bijącego serca, dziwnego jakiegoś doznałam uczucia.

Był to jakiś czy ból, jakby coś ostrego i zimnego wpadało mi w serce, czy jakieś przeczucie złowrogie dziecka się tyczące. Mnie się w tej chwili wydało, jak gdybym coś już nie mego przytulała do piersi mojej, czem się długo cieszyć nie będę. Od tego czasu niemogłam uwolnić się od tej srogiej myśli, że mój syn prędzej czy później podpadnie słusznej ale okropnej zemście króla dziadów.

Po tym śnie i wzruszeniu wpadłam w okropną gorączkę, którą omal życiem nieprzepłaciłam. Gdym ozdrowiała, pierwszą myślą moją całą i zdrową było przypomnienie owego snu strasznego.

— Strasznego! niezaprzeczam... ale zawsze snu tylko.

— Masz słuszność bracie tam w głowie, ale wierz mi, że ja mam słuszność tu w sercu mojem.

I zadumane a blade czoło spuściła na podtrzymującą je rękę. Oboje milczeli. Ona była nadto wzruszona, by mogła co powiedzieć; a major, mimo najlepszej chęci, nie wiedział co powiedzieć. I jego mimowoli opowiadanie to wzruszyło, jakkolwiek fantastyczność szczegółów nie mogła trafić do praktycznej głowy starego żołnierza.

Nagle milczenie zostało przerwane szybkiemi krokami, które się ozwały w drugim pokoju. Oboje zbudzeni z zadumania tak nagle zadrzeli, i zwrócili zdumione i ciekawe oczy ku drzwiom wchodowym.

Wszedł preez nie stary sługa majora, który z nim odbywał wszystkie wyprawy wojenne. Był to prawdziwy typ sługi wojskowego. Wysoki, sztywny, wyprężony, miał długie i spiczaste wąsy, codzień woskowane i szwarcowane należycie. Na twarzy wyryta była poczciwość, obok nudnej trochę regularności, i niezłomnego dla pana posłuszeństwa.

— Co powiesz Marcinie? zawołał major z rodzajem niechęci, nielubił bowiem, żeby go sługa bez rozkazu szukał.

Marcin nie odpowiedział póty, póki nie ustawił się w pozyturze służbowej, jaką uważał za stosowną w obec majora, a co więcej w obec pani domu, dla której równie jak i dla całej płci pięknej wielkie miał uszanowanie.

— Proszę pana majora! jakiś tu chłopak przyszedł i przyniósł list. Ledwie mi go wsadził w rękę a ja go się zaczął wypytywać gdzie? co? po co? i zkąd? już i znikł, ale tak proszę pana majora, jak ten francuz we Włoszech, co to nam pokazywał sztuki.

— Dobrze już! ale cóż z tym listem?;.

— A co najdziwniejsza, mówił Marcin wzruszony dalej, bo już to gdy zaczął opowiadać, żadna siła ludzka nie zdołała go powstrzymać lub zwrócić z raz obranego kierunku, to to było, że chłopak ten wyglądał mi na żebraka.

— Na żebraka! zawołali major i pani Wyżyńska.

— Tak niby podobny był do żebraka i ze stroju, i z twarzy, która nie wiele przyrzekała. A choć go nigdy w życiu nie widziałem, za co mógłbym przysiądz, on

od razu przemówił do mnie, już to grzeczniej przemówił, niż się spodziewałem po jego twarzy i odzieniu.

— Marcinie kończ już do stu!... zakrzyknął major którego główną cnotą nie była cierpliwość, z Marcinem nieraz na ciężkie próby wystawiana.

— Zaraz panie majorze!.. Powiedział mi tedy: Panie Marcinie oddajcie ten list waszemu panu majorowi. Z kąd ten chłopak mógł wiedzieć o mojem imieniu?..

— Gdzież ten list nudziarzu? zawołał major i zerwał się z miejsca swego.

— Zaraz panie majorze! List jest u mnie, ale ten chłopiec tak mi się wymknął... iż...

— Mój Marcinie, dawaj list co prędzej! przemówiła sama pani Wyżyńska.

Na jej słodki i błagający głos rozmarszczyło się czoło starego wojaka, i nawet rodzaj uśmiechu pomarszczył suche jego usta.

— A jest list, proszę wielmożnej pani, odrzekł Marcin, i wydobył przecie z zanadrza list jakiś z grubego papieru.

Major porwał za list i ledwie rzucił nań okiem zawołał radośnie:

— To od Eugeniusza!..

Usłyszawszy to matka słowa wyrzec nie mogła, złożyła tylko ręce i oczy wzniosła ku niebu, jakby chciała naprzód modlitwą bogu podziękować za to szczęście niespodziewane.

— Ja zaraz myślałem, ozwał się Marcin i dla tego aż tu przyszedłem.

— Żyje?.. zdrów?.. zawołała wreszcie matka, odzyskując głos.

— Zdrów jak ryba, odrzekł major składając list; ale oczewiście oszalał.

Marcin tymczasem jako rozumny sługa, niechcąc słuchać pańskich sekretów, oddawszy pokłon wojskowy wyszedł z pokoju.

— Cóż się z nim dzieje?.. wołała dalej matka.

— Oszalał wyraźnie!.. zakochał się po uszy.

— W kim?.. pytała matka, i odetchnęła, bo cóż dla niej strasznego być mogło w zakochaniu się syna.

— W Goździkiewiczównie!.. warjat prawdziwy.

— Dla czego?.: Hania śliczna, poczciwa dziewczyna, i wcale dobrze ma w główce...

— Ale ekonomówna!...

— Byle był z nią szczęśliwy...

— No! no!.. już ja zrobię porządek z tym jego romantyzmem, do którego wy moje panie macie także słabość. Ale pisze mi tu na końcu jakąś historję o skarbie zakopanym przez tego sknerę Wiciewicza, który jest w niebezpieczeństwie, bo już o nim wiedzą żebracy, i ten ich król.

— Król dziadów! zawołała matka z wyrazem przerażenia. Czy zawsze stawać będzie na drodze naszego życia. Boże mój! ratuj nas od niego.

— Kochana bratowo!.. uspokój się! jeszcze nie możesz przyjść do siebie po wzruszeniu. Eugenjusz żyje i nic mu się nie stanie. Ja sam zaraz tam jadę do niego, pomówię z nim mądre słowo, a z królem dziadów, jeżeli go tam gdzie zdybię na mojej drodze, dam także radę sobie... A co do tego głupiego skarbu trzeba dać znać Wiciewiczowi, niech tam go sobie nazad wykopie.

— Drogi bracie! tylko Eugeniusza przywieź co prędzej... I na wszystko przystań... jeżeliś mi kiedykolwiek co dobrego życzył... Czy myślisz że małżeństwo bez miłości przynosi szczęście!..

— Eugeniusz! odrzekł major pół głosem, i zarumienił się jak młode dziewcze... A nareszcie!.. dodał, Goździkiewicz szlachcic a co więcej poczciwy człowiek, o... nasz!.. Ha!.. niech się dzieje wola Boża...

— Już już! już bracie!.. ale trzeba by donieść Ignacemu o tej wesołej wieści...

— Masz pani bratowa słuszność... Zapomniałem o tem; a to przecie ojciec!..

— Chodźmy! odrzekła pani Wyżyńska.

I weszli oboje do znajomej już nam kancelarji pana Ignacego. Lecz jego nie zastali. Służący pana Ignacego zapytany powiedział, że już parę godzin temu, jak wkrótce po rozmowie z Srulem, wyszedł gdzieś... Gdzie poszedł nikt nie wiedział.

Oboje, brat i żona popatrzyli na siebie zadziwieni, bo wiedzieli z doświadczenia, że pan Ignacy zupełnie nie był przyjacielem piechotnych przechadzek. W pokoju jego wszystko tak stało, jak przed wyjściem jego. Na stole leżały papiery sądowe i list od pełnomocnika, zwiastujący mu jak wiemy zupełną ruinę majątkową. Na pół z roztargnieniem, na pół z niespokojnością przeglądał major złowieszcze te papiery, i po raz pierwszy zadrzało mu w sercu uczucie dziwnego jakiegoś niepokoju. Mimowolnie spojrzał na ścianę, gdzie dla parady raczej niż dla potrzeby lub gustu samego pana Ignacego wisiało dwie czy trzy pary pistoletów. I poznał od razu że jednego brakuje. Nie dał wprawdzie poznać tego po sobie, ale złowrogie przeczucie ścisnęło mu serce.

— Gdzie on mógł pójść? zagadła pani Wyżyńska głosem zmienionym. Bo i ją, choć nie wiedziała dla czego, mimowolna przejęła trwoga.

— Chciał się przejść i wkrótce wróci zapewne. Idź bratowa do siebie i połóż się: ja jadę zaraz.

— Ja idę modlić się.

— I to nie zawadzi!.. mruknął stary major odchodząc sam do siebie. Dziwna rzecz! myślał dalej siadając na ulubionego karosza. Nigdy jeszcze takiego nie miałem

takiego uczucia... nawet gdy na armaty szedłem. Cóż u diabla, czy już ze mnie taka baba na starość się zrobiła.

I spiął konia ostrogami. Za nim jechał Marcin z miną poważną, trzymając konie powodowego owego znanego nam karosza, przygotowanego dla Eugeniusza.

Przed odjazdem wysłał posłańca do Wiciewicza, donosząc mu w krótkich słowach co usłyszał o zakopanym przez niego skarbie.

C. d. n.

Domowa piosnka.

Spieszył wędrowiec obcą krainą,
A droga przed nim daleka;
W tem go piosenki tony opłyną,
Wędrowiec stanął, i czeka.

Słucha zdziwiony, a z drżącej dłoni
Kostur pielgrzymi wypada;
Stron to rodzinnych piosenka dzwoni,
Łzami na sercu osiada.

Tam ją nuciła jego kochana,
W śród cichych gwarów wieczora;
Tu wszystko obce, pieśń tylko znana,
I grajek inny, i pora.

Nie pyta grajka skąd piosnkę umie,
Lecz kołysany dźwiękami,
O swej krainie marzy w zadumie,
O siole między lasami...

Potem grosz wcisnął do grajka dłoni,
Uśmiechy ze łzami miesza,
Myśli wróciły z marzeń pogoni..
On dalej, dalej pospiesza.

Mieczysław R....

Rozmaitość.

Msza na intencją wojska francuzkiego.

* Gazeta *Couvier des Alpes* podaje zdarzenie ciekawe za którego autentyczność ręczy, świadczące o niepospolitej dobroci serca papieża Piusz IX. Przed kilką miesiącami żołnierz jeden francuski z wojska w Krymie będącego, napisał list do znajomego i kolegi, który znajdował się w Rzymie. W liście tym doniosłszy mu o trudach i niebespieczeństwach jakie w Krymie przebywać muszą, o słabościach i niemniej zabójczych kulach rossyjskich, daje mu w końcu zlecenie, aby tej chwili udał się sam do Papieża, i dawszy mu należytość jako za to wypadać będzie, uprosił go o mszę na intencją utrzymania wojska francuzkiego. Kolega z Rzymu znalazł to rzeczą bardzo naturalną, i chcąc co prędzej dogodzić koledze krymskiemu, zaraz nazajutrz wali wprost do Watykanu. Zaraz przy bramie przedstawił żołnierzowi na warcie stojącemu, że chce się widzieć z Papieżem.

— Czy prosiłeś pierwej o posłuchanie? zagadł go żołnierz rzymski.

— Ba! jeszcze co! odrzekł francuz. Posłuchanie to tylko dla wielkich panów wymyślone; ja jako prosty żołnierz, obejdę się bez tych cermonji.

W prawdzie rozumowanie to nie trafiło do przekonania warty, ale nie było rady z upartym francuzem, musiał go zatem zaprowadzić do prałata, który zwykle proszących prowadzi do Papieża.

Tu nowe trudności, które wszystkie przezwyciężył żołnierz francuski powtarzając, że musi koniecznie widzieć się z Ojcem świętym. Prałat musiał w końcu ustąpić, i oznajmił go Papieżowi.

Łatwo pojąć, że taka natarczywość żołnierza francuzkiego, bez żadnej cermonji, rozbudzała ciekawość Papieża. Kazał więc go przywołać do siebie.

Wszedłszy do pokoju, gdzie się Papież znajdywał, francuz wyprostował się jak struna, i uciąwszy salutacją żołnierską, z ręką przy czole, jak by miał zdawać raport przed porucznikiem swoim, przemówił krótko i przytomnie.

— Mój panie Papieżu! oto jest list od kolegi mego z Krymu, który się pana tycze. Proszę go przeczytać, i powiedzieć mi, co mam na to odpowiedzieć?

To rzekłszy jedną ręką podał Papieżowi list, a drugą kilka sztuk monety, jako zapłatę za żądaną mszę.

Papież wziął list z uśmiechem, i przeczytawszy oddał żołnierzowi nazad.

— Mój przyjacielu! rzekł do niego. Msza którą jutro mieć będę, ma już swoje niezmienne przeznaczenie, ale nazajutrz z największą przyjemnością odczytam mszę na intencją walecznego wojska francuskiego. Pod jednym wszakże warunkiem. Musisz sam przyjść na tę mszę, a zarazem przyjąć św. Komunię. Co do należytości za mszę, ofiarowaną mi przez ciebie, weź ją nazad, i wypij za zdrowie walecznych twoich kolegów w Krymie.

— Najchętniej panie papieżu! odrzekł żołnierz. Idę zaraz do naszego kapelana pułkowego, aby się przygotować należycie, a pojutrze o naznaczonej godzinie stanę na moim posterunku.

I znowu ukłoniwszy się po żołniersku, zrobił prawo w tył, i wyszedł. O zamówionej godzinie przyszedł francuski żołnierz, który okazał się równie dobrym chrześcianinem, jak wiernym żołnierzem, na naznaczone miejsce, i wysłuchawszy mszy pobożnie, miał zaszczyt przyjąć komunją świętą z rąk Papjeża.

* Ostatni koncert p. Biernackiego odbędzie się w niedzielę następną w sali ratuszowej. Początek o godzinie piątej. Pan Biernacki odegra *F. Dawida* fantazję na temat oryginalny, Adagio i Rondo *Artota*; Sen, *Alarda* Adagio i Rondo, i mazurek własnego utworu. Oprócz tego koncert urozmaicony będzie śpiewem.

* W niedzielę odbyła się próba muzycznych utworów, przeznaczonych do tańcu na następujący karnawał. Grano polones *Zimmermanna*, mazury *Tymolskiego i Gnatkowskiego*, walce Straussa i Zimmermanna i dwie polki Trytona i Zimmermanna. Prócz Straussa i Trytona podobno (?) kompozytorowie których grano utwory są Lwowianie.

Oprócz utworów Straussa, najwięcej podobał się walc i kadryl Zimmermana i kadryle Madurowicza. Pierwszy i trzeci mazur Tymolskiego bardzo udatne, drugi z tych mazurów tchnie trochę walcem. Gnatkowskiego mazury są zbieraniną melodyj dawno już znanych. Jeden również jest podłożeniem Ländlera, w innym jest melodja z Mańkowskiego kompozycji: U nas inaczej. W ogóle w kompozycjach mazurów jego niema świeżości, a za wiele dziwactwa w przejściach z jednej części do drugiej. Do tańca są dobre.

Przyjechali od dnia 24. do 27. Grudnia do Lwowa.

PP. Jełowicki Wenant, z Chnidowiec. Tchorznicki Julian, z Cucułowa. Hr. Krasiński Ludwik, z Robatyna. Postruski Klemens, z Potiatycz. Postruski Józef, z Wojniłowa. Kruczkowski Leonard, z Żełdca. Ziętkiewicz Stanisław, z Pieniak. Hr. Lanckoroński Stanisław, z Komarna. Bartmański Feliks, z Tadania. Kielanowski Julian, z Żelechowa. Dąbrowicki Zeno, z Glińska. Grabianka Tomasz, z Ohladowa. Br. Kapri Dominik, z Krakowa. Jasiński Karol, z Magierowa.

PP. Matlachowski Wojciech, z Złoczowa. Koch Ernest, z Dąbrowy. Liskowacki Sylwester, z Torek. Radziszkiewicz Aleksander, z Milatyna. Medwej Franciszek, z Stupnicy.

Wyjechali od dnia 24. do 27. Grudnia ze Lwowa.

PP. Zubrzycki Karol, do Rudnik. Torosiewicz Jan, do Połtwi Hr. Dzieduszycki Kazimierz, do Niesłuchowa. Duchnowski Leon, do Żółkwi. Jaworski Tomasz, do Komarna. Zawadzki Marcin, do Orzechowiec. Hr. Skarbek Władysław, do Tarnopola. Hr. Humnicki Jan, do Rozpucia. Jaruntowski Jan, do Małhowiec. Doliniański Seweryn, do Żółkwi. Mautner Mateusz, do Gródka. Hr. Leali, do Krakowa.

PP. Herman Łucian, do Przymowa. Biliński Ludwik, do Chocina. Dr. Muhlwenzl, do Czerniowiec. Wurmb, do Krakowa.

Kurs telegrafowany z Wiednia 24. b. m. o g. 2. popołud.

Augsburg za 100 złr. .	$109\frac{8}{1}$	Pożyczka 5%	$96\frac{5}{16}$
Hamburg za 100 tal. banco	$81\frac{1}{2}$	Akcye banku . . .	906
Londyn za 1 funt szterl.,	10.44	Kolej północna	$2122\frac{1}{2}$
Medyolan za 300 lirów	111	Obl. ind.	$69\frac{1}{8}$
Paryż za 300 franków .	$128\frac{1}{4}$	Nowa pożyczka z loterya	96
Agio duk. ces.	$13\frac{1}{2}$	Pożyczka narodowa . .	$77\frac{1}{8}$

Wczorajszy **Kurs Lwowski** Gotówka towarem.

Dukat holenderski	złr.	5	kr.	9	złr.	5	kr	12
Dukat cesarski	«	5	»	11	»	5	»	14
Półimperyał zł. rosyjski	«	8	«	55	»	8	»	59
Rubel srebrny rosyjski	»	1	«	42	«	1	»	43
Talar pruski	»	1	«	38	»	1	«	39
Polski kurant i pięciozłotówka	»	1	«	12	»	1	»	13
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	»	87	«	—	»	87	»	30
Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu		68	»	—	»	68	«	30
5 proc. pożyczka narodowa		76	»	40	»	77	»	30

Wydawca i odpowiedzialny za redakcją: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**